DZIŚ I JUTRO

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

ROK XIII POZNAŃ, 1 LISTOPADA 1936 NR. 4

W rocznicę



Fot. Pikiel

Nadchodzi wielka rocznica 11. XI.
Sercem wracamy w ubiegłe lata do Tych, co o Nią walczyli.

„Wytwórzmy wspólny front do walki z nędzą"

(Z posiedzenia Rady Młodzieży)

Pierwsze tegoroczne posiedzenie Rady Młodzieży w Gimnazjum 643 we Lwowie odbyło się w niedzielę dnia 11 października.

Już kończyło się posiedzenie, gdy weszła na salę M. Dyrektorka z wycinkami gazet w ręku — poważna — nieco wzruszona.

— Dzieci, jest coś ważnego, nagłego. Nim zakończy się posiedzenie, trzeba coś załatwić. — Szkoła nie jest przygotowaniem do życia, s z k o ł a j e s t ż y c i e m.

Wczoraj na Zamku Królewskim padło słowo: „Musimy stworzyć wspólny front do walki z nędzą."

Zbliża się zima, a z nią głód, zimno, nędza i rozpacz. — Wszyscy w Państwie zrzeszyli się do wspólnej działalności.

Nawołują do niej najwyżsi dostojnicy duchowni, nawołuje Rząd: Premier i Minister Pracy i Opieki Społecznej; a więc na dzisiejszej Radzie Młodzieży musi być oddźwięk tego potężnego wezwania: Ratujmy bezrobotnych, ratujmy głodne dzieci, ratujmy matki zbolałe i ojców rozpaczających.

Słowa z listów arcypasterskich, słowa przedstawicieli Rządu padają na serca dzieci lwowskich, zainteresowanie ich wzrasta, oczy świecą, podnoszą się ręce: „Wytwórzmy wspólny front do walki z głodem i nędzą".

. . . .

Uchwala się niedzielną zbiórkę na bezrobotnych — choćby g r o s z j e d e n co tydzień, opodatkowanie słodyczy kupowanych w kramie, kiosk na bezrobotnych z okazji „jarmarku szkolnego", organizowanego przez Czerwony Krzyż.

Wszyscy staną do szeregu: Spółdzielnia, Kram, Czerwony Krzyż, Harcerstwo — wszystkie dzieci od I-ej do VIII-ej klasy. Po klasach omawiać się będzie te i inne projekty. Komitet ściślejszy obmyśli szczegółowy plan akcji.

Ukażą się ogłoszenia, wzywające całą szkołę do współpracy.

. . . .

Nazajutrz dziewczynki z I-ej klasy ułożyły wspólnymi siłami redakcyjny artykulik następującej treści:

Koleżanki!

Do czynu! Zima się zbliża! Na każdym kroku widać coraz więcej nędzy! Cały świat walczy z bezrobociem, a my mamy na to patrzeć obojętnie? Łączmy się z pracą dorosłych. Organizujmy zespoły dla najbardziej potrzebujących. Odmówmy sobie czasem drobnych przyjemności i stańmy zwartym szeregiem do walki z zimnem, głodem i rozpaczą!

. . . .

Imieniem całej szkoły wzywa tutejszy Komitet Pomocy dla Bezrobotnych wszystkie uczennice Polski do wspólnego działania. Niech złączą się tysiączne rzesze młodzieży, jak Polska długa i szeroka pod hasłem: „Czyńmy dobrze biednym i cierpiącym". Wymieńmy może myśli i zamiary nasze drogą pisemną (przez Redakcję „Dziś i Jutro"), a może na Boże Narodzenie po świętach zjedźmy się, delegatki szkół średnich, na wspólne obrady (gdzie uznacie), by obmyślić plan działania, któryby nie obarczał finansowo rodziców naszych, ale pozwolił nam skromnymi środkami i wytężoną wolą wytworzyć wspólny front działania dla biednych, bezdomnych i zgłodniałych.

K o m i t e t.

Po drugiej stronie

I.

Czy pamiętasz? od ulicy wchodziło się na dziedziniec: z jednej strony ściany banku, co nęcił i odstraszał zarazem zakratowanymi oknami, z za których zimą świeciły długo tajemnicze girlandy lamp elektrycznych — z drugiej — kilka drzew i wejście do ogródka.

Wbiegało się po kamiennym ganku, a potem schodami na pierwsze piętro prędko, prędko, by już być w domu. Naciskasz dzwonek i czekasz z bijącym sercem, żeby prędzej Aniuta otworzyła, bo schody są mroczne i zawsze boisz się obejrzeć w tył — a nuż tam ktoś stoi? A potem, gdy klucz zgrzyta w zamku (och, jak powoli, prędzej! prędzej!) i otwierają się drzwi, ciężkie drzwi obite od środka ceratą, wchodzisz i ogarnia cię błogie, bezpieczne uczucie, że już jest — Dom.

Zostawiasz płaszcz, kalosze, bierzesz tylko teczkę z książkami — i poczucie Domu — i idziesz.

W pierwszym pokoju rozsiadły się na środku kanapa i fotele, a na stole makata japońska patrzy wkoło zdziwionymi, skośnymi oczami innej rasy.

Na stole książki.

Na ścianach książki.

Rozstawiły się rzędami na półkach czarnych i dostojnych, od podłogi do sufitu.

Stoją ciasno, poważne i grube; nęcą napisami grzbietów, dotykasz ich przyjacielsko. Nasiąkasz tu od małego kultem książki. Mówi do ciebie już tym, że istnieje. Czy pamiętasz?



Na stole książki. Na półkach książki.

Książki były wszędzie, na wszystkich ścianach; tylko fortepianowi ustąpiły pobłażliwie trochę miejsca i tylko za oknami było miejsce dla innego świata.

Za oknami był ogródek nasz, i ogródki sąsiednie, bo dzielnica miała dużo zieleni. A w ogródkach kwitły bzy i jaśminy, a potem lipy syciły miodem powietrze i mięszał się ich zapach z wonią setek książek ... jak jedna rzeczywistość z drugą rzeczywistością twego istnienia.

W miesiącach, gdy słońce przygrzewało dostatecznie, z ogródków dolatywały przez całe dnie głosy dzieci: głosy nasze i głosy tych dzieci innych, z za płotu. Znasz tylko ich imiona: Nadzia, Wieroczka, Wasia, Friedia, Zorżik — to są dzieci sąsiadów-rosjan. My tylko mówimy tu po polsku i tylko u nas wisi nad fortepianem obraz „Racławice", premia Zachęty z dalekiej Warszawy.

O tej Warszawie śnisz: tam wszyscy mówią po polsku, na sklepach są polskie napisy, naprawdę! I jest polska szkoła, kuzyni Jurek i Stefan chodzą do niej. Szczęśliwi!

II.

Czy pamiętasz, jak potem z naszymi głosami w ogródkach jęły się mięszać coraz częściej głosy śpiewów żołnierskich i dochodził do twych uszu, szumiących od bujnej krwi, co napływała, hucząc, jak morze — miarowy tupot ich nóg. — Raz, dwa. Raz, dwa ...

A potem, będąc „na daczi",*) widziałeś, jak jechali na front towarowymi pociągami. Przy otwartych szeroko drzwiach wagonu śpiewali to buńczucznie i dziko, to żałośnie, a gdy pociąg był coraz dalej i dalej, śpiew ich zlewał się z jego dudnieniem i nagle chwytało cię coś za serce, że — odjeżdżają na zawsze tam, skąd się nie wraca.

Kochaliśmy wtedy Ją, co oto w morzu krwi i łez miała powstać z martwych, z całą namiętnością, z całym szaleństwem, co chciało krzyczyć i płakać ...i czynić cuda. Kochaliśmy Ją tak, jak kochać można tylko Tę, co nie istnieje zewnętrznie, co jest wyśniona, wymarzona... pamiętasz? Dziś kochamy Tę, która j e s t, i ja, i ty, równie mocno, ale — jakże i n a c z e j.

Pisałam do Niej wtedy moje dziesięcioletnie wiersze pełne krwi i ofiary i czytywałam je po cichu — bo któżby głośno odkrywał tajniki serca — tobie.

III.

A potem... Jak tłoczą się obrazy...

Ty już byłeś chłopakiem o długich rękach i nogach i głowę miałeś gdzieś coraz wyżej, tak, że podnosić musiałam oczy w górę, mówiąc do ciebie.

A ja czytałam coraz więcej książek i bawiłam się z pasją, jak dawniej, na huśtawce w ogródku.

Przyjeżdżały pociągi Stamtąd: coraz więcej Polaków. Nazywano ich „bieżeńcy", a myśmy mówili „nasi", lub oficjalnie „uciekinierzy". Szliśmy im naprzeciw, otwierając serca, otwierając dom nasz, by słuchać z lubością, jak „oni" mówią, by prosić o wieści o tem, jak to jest Tam — w Warszawie, Łodzi, Częstochowie... Z kuchni dolatywał zapach smażonych pączków i woń kakao, bo „oni" mieli dziś być na podwieczorku.

Chodziłam wtedy z Mamą całymi dniami po komitetach, urzędach, szwalniach i piekarniach, by się dla „nich" wystarać o pracę, mieszkanie, chleb...

Czy pamiętasz tę biedną rodzinę z pięciorgiem dzieci? Twój rówieśnik, Zenek, zachorował na tyfus i umarł — a nam się oczy rozwarły przerażeniem, że zostanie na zawsze już tu, że nie wróci Tam... Jego białe gołębie dostałeś ty na pamiątkę. Może gołębie wrócą?

I przyszły odkrycia tak bolesne, że chcieliśmy je ukryć przed wszystkimi, co nie mówią po polsku. „Nasi" byli tylko ludźmi: zaczęli się kłócić, plotkować... i gorzej jeszcze. Było nam wstyd, tak strasznie wstyd za nich, bośmy ich tu witali jak najdroższych, jak obraz Jej — bez plamy i skazy.

IV.

Było dużo szpitali wojskowych. Chodziliśmy tam, niosąc nieśmiało, wobec ogromu bólu, paczki... i serce. Szliśmy między szeregami łóżek cicho, lekko, by nie urazić wstrząsem, zawstydzeni tym, że twarze nasze były rumiane i zdrowe.

Najdłużej staliśmy przy chorych, co jęczeli po polsku i bełkotaliśmy do nich z wezbranych nadmiernie serc jakieś słowa obrzmiałe współczuciem.

A latem, w Bodarówce, gdy przysłano do prac w majątku jeńców „austriackich", pamiętasz, jak chodziliśmy do ogrodu plewić grzędy razem z tymi, co spod Krakowa, Lwowa, Tarnowa poszli do legionów. Pod spiekotą słoneczną, nad pióropuszami marchwi i szorstką zielenią ogórków pytaliśmy ich bez końca...

Musieli pokazywać ci blizny po ranach i opowiadać po raz setny ich dzieje, a ty dotykałeś wzrokiem blizn, jak świętości mistycznych: stawałeś się wtedy nagle starszy, taki jakiś dojrzały pragnieniem.

A ja pytałam po raz setny, czy ich już naprawdę, wcale nie boli? — to była moja troska.

*) na letnisku.

Po podwieczorku biegliśmy pędem, na wyścigi (choć ty byłeś zawsze pierwszy), zanieść im kawałek placka z wiśniami lub garść śliwek — i dzielić serce. Zapamiętywaliśmy się przy tym zupełnie, aż po nas zgorszona Aniuta przychodzić musiała z wyrzutem, że „panicz i barysznia o czaju sowsiem zabyli".*)

V.

A potem — była rewolucja. Kilka dni spędziliśmy w domu, bo niebezpiecznie było wychodzić. Słuchaliśmy z zapartym oddechem tego, co idzie, patrząc w przyszłość poważnym wzrokiem ojca — a czasem — niespokojnym sercem matki. Ale o tym nie mówiło się głośno.

Była jesień, a potem zima i wiosna, co szła długa i błotna jakaś, smętna na zewnątrz, bo niespokojna wewnątrz.

Zaczęli do nas na kolację, gdzieś kuchennymi drzwiami przychodzić Oni, pojedyńczo, czasem po dwóch, ale nie wchodzili nigdy razem. Nie wiem, jak się tu dostawali i nie wiedziałam, dokąd odchodzili wczesnym, szarym rankiem.

Byli z nami na kolacji; siedziało się wtedy długo przy syku samowara nad coraz skromniejszym, coraz głodniejszym posiłkiem. Ale Im przysuwało się, co najlepsze.

Opowiadali, jak się przekradają, jak gdzieś tworzą się oddziały polskie; wpadały nam w serca nazwiska Dowbor-Muśnickiego, Hallera. Mieli twarze wychudzone, nie golone od wieków i błyszczące utrudzeniem oczy, a w oczach dziwną stal!

Wieczorem naprawiałam z mamą, co się dało, z ich ubrania, na rano musiało być wszystko gotowe.

Aniuta, choć rosjanka, była wierna i nie zdradziła nigdy, a zdradzić mogłaby — codzień.

*) Panicz i panienka o herbacie zupełnie zapomnieli.

Na dzwonek otwierało się drzwi powoli, z ociąganiem, bo nie wiadomo, kto był za nimi i czy Im nie zaszkodzi? Od czasów rewolucji Dom nie był dawnym, bezpiecznym Domem...

W świat szli z nazwiskiem przybranym i z paczuszką jedzenia na drogę.

Za oknami stało wielkie, ciemne Niewiadome.

A my szliśmy rano do szkoły, myśląc wciąż o tych, o których nie wolno było mówić z nikim: kończyli się za progiem domu, za ciężkimi drzwiami, obitymi ceratą.

VI.

A potem — poszedłeś Ty.

Wszystko było niby zwyczajnie na zewnątrz. Wyszedłeś z domu bez pakunków, bez walizek tak, jak chodziłeś codzień do kolegi. Zawarło się nad Tobą nieprzeniknioną tajemnicą wielkie Niewiadome na lat kilka. Te lata były dla nas wiekiem...

Zamknęły się ciężkie drzwi. Twarz ojca była poważna i nieugięta. Matka poszła dziwnie szybko przeglądać bieliznę w komodzie i cerowała ją potem zawzięcie w jakimś samotnym kącie, gdzie nikt nie widział jej oczu...

A ja zostałam na lata całe z połową tylko mego życia, bo druga jego połowa poszła walczyć o Tę, co się gdzieś stawała w mękach i krwi i w nadziei przeciw wszelkiej nadziei.

Pamiętasz, Bracie?

Maria Wilk-Szarzyńska.

Kto jest mistrzem w swoim zakresie, bez względu na to, czym jest ten zakres, ten zdobył swój stopień akademicki, ten wkroczył w królestwo mądrości .

Henry Ford.

•

Współ-kochać, przyszłam, nie współnienawidzieć.

Sofokles. Antygona.

Niech żyje Wilno!

(Dokończenie).

Zwłoki królewskie w podziemiach Katedry rozsypały się w proch, za to zwłoki inne, nieznane, prócz paru wyjątków, zachowały się doskonale zmumifikowane w podziemiach kościoła św. Ducha (podominikańskim).

Ciekawa jest historia odkrycia, a raczej odnalezienia na nowo tego „miasta podziemnego". Oto jeden z naszych cicerone dostał kiedyś od przekupki w halach targowych sprawunek, owinięty w karty starej książki. Okazało się, iż były to zapiski zdaje mi się Tyszkiewicza, który kilkadziesiąt lat temu robił poszukiwania w podziemiach św. Ducha, w nadziei, że znajdzie tam zwłoki Aleksandra Jagiellończyka. Nadzieja zawiodła Tyszkiewicza, ale fragmenty zapisków wystarczyły, by rozbudzić żyłkę szperacką naszego cicerone. Wkrótce garść studentów U. S. B. uzyskała pozwolenie władzy duchownej i zaczęła się „grzebać", dosłownie, grzebać pod ziemią. Praca ta trwa już dwa lata i dała nieoczekiwane wprost rezultaty.

Schodzimy w dół. Za nami, w słonecznym świecie zostaje śmiech i tupet, bo jesteśmy nagle wśród setek trumien. Leżą w nich, w majestacie śmierci zwłoki ludzi starych, wojaków z sumiastymi wąsami i czuprynami, młodych panien w jasnych sukniach, dostojnych, nieco otyłych matron, zakonników w ciemnych habitach itd. itd... Widać jeszcze wyraz twarzy, mowę złożonych rąk; włosy, skóra zachowane doskonale. Suknie tak mocne, że ich rozerwać nie można. Wszystko wysuszone doskonale. Klejnotów brak, podziemia bywały widocznie plondrowane w czasie najazdów wojennych.

Na trumnach brak napisów; są daty, wybite gwoździmi, na jednej monogram, na wielu godła maryańskie.



Wilno. Kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu.

Fot. PAT

W prowizorycznym muzeum leżą luźnie odnajdywane fragmenty: czaszki z dziurami od kul, części ubiorów, jakieś olbrzymie buciska, pobożne książki z malowanymi obrazkami, które wysuwają się z nich tak, jak dziś wyglądają one z książek babuni.

Idziemy coraz dalej, uważając, by się nie odłączyć od reszty towarzystwa, bo łatwo możnaby zaginąć w tym labiryncie krypt i korytarzy. Jesteśmy już pod głównym ołtarzem kościoła: olbrzymie filary z gotyckich cegieł dźwigają sklepienie. Przejście stąd do dalszych komór, to była istna

epopea. Po zwałach trumien i trupów musieli studenci czołgać się na czworakach lub nawet w pozycji leżącej, by dotrzeć dalej, zakładając równocześnie własnoręcznie elektryczne oświetlenie. Stajemy w miejscu najbardziej wstrząsającym, zwanym przez studentów „Hadesem".

W sklepionej, dużej komorze zwał trupów: nie wiadomo, czy w czasie zarazy morowej, o której żniwach śmiercionośnych nie mamy już dziś pojęcia, czy też w czasie masowych pogromów wojennych wrzucano tu ciała jedne na drugie, tworząc bezładny stos. Leżą olbrzymie, nagie ciała mężczyzn, o twarzach wykrzywionych nieraz okropnym bólem, leżą zwłoki kobiet i drobne ciała dzieci. Głębokie milczenie. Cisza grobowa. Słyszymy bicie naszych własnych, żywych serc...



Wilno. Kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu. Kaplica Męczenników. Fot. PAT

Dziwnie milczące byłyśmy jeszcze przez dłuższą chwilę po powrocie z podziemi do słonecznego świata. — Wszak stałyśmy oko w oko z mysterium tremendum.

Sam kościół św. Ducha po podziemiach nie robi już większego wrażenia. Jakiś barok fantastyczny, wybrzuszone kolumny o bujnej polichromii, liczne ołtarze, na których „ozdobienie" nie pożałowano olejnej farby. Przy jednym z tych ołtarzy, ołtarzu Biczowania, modlili się zwykle powstańcy 1863 przed pójściem do obozu. Końcowym ich etapem bywał często plac Łukiski. Ci z powstańców, co nie zginęli w bitwie lub nie gnili latami w Syberii, znajdowali tam śmierć na szubienicy. Między innymi zginął tak Sierakowski.

Aby zapobiec jakimkolwiek manifestacjom, Moskale przewozili w nocy zwłoki straconych na górę Zamkową



Z wileńskiego rynku.
Fot. Danka Filipiakówna

i tam ich grzebali, ale nasi i tak dowiedzieli się o tym i nieśli swym bohaterom kwiaty i łzy. Dziś stoi nad powstańcami oryginalny krzyż projektu artysty - rzeźbiarza Wiwulskiego i kwitną niezapominajki...

Na górze Zamkowej byłyśmy kilka razy, bo choć Zamek w ruinie nie przedstawia nic szczególnie ciekawego, widok na Wilno z góry jest bardzo ładny.

Bodaj ładniejszy jeszcze widok na całe Wilno jest z góry Trzykrzyskiej, z której nazwą związana jest legenda o misjonarzach, zabitych tu przez pogan. Górę zdobią ładne trzy krzyże, skomponowane w artystyczną całość. Na tę górę wchodziłyśmy dość mozolnie, bo wejście od strony Wilenki jest gliniaste i strome — było też śliskie po przejściowym deszczu; za to zejście było szybkie, dla jednej z nas nawet fatalnie szybkie i uproszczone... trzeba było po nim robić pranie garderoby.

W Wilnie czekał nas jeszcze jeden cud...

Longinus oświadczył od początku kategorycznie: — Po kościele św. Piotra i Pawła na Antokolu oprowadzę panie sam.

Ale Longinus ma czas dopiero we czwartek po południu. I wtedy był poemat. Poemat potężnej, barokowej świątyni o białym wnętrzu, całym w stiukach, w których dusza człowieka XVII wieku wypowiedziała swe pragnienie pokoju i swój sąd o sprawach ziemi. Opowiedzieć się tego nie da. Do tego kościoła trzeba pójść i zasłuchać się, jak kaplice męczenników i męczenniczek, kaplica Matki Boskiej i św. Augustyna i inne łączą się z całą mnogością tysięcznych stiuków pozornie często dekoratywnych, w jedno wielkie teatrum barokowe. Teatrum to ma silną więź logiczną i dąży, podobnie jak myśl ludzka, przez mnogość doczesnej impresji i ekspresji — do jedności wiecznej. Ale — jedno zastrzeżenie: po tej świątyni musi was oprowadzić ktoś, kto ją nie tylko przemyślał, ale i przeżył.

Kościół na Antokolu, to fundacja Michała Paca, hetmana wielkiego litewskiego; podobno wystawił go, jako votum za wyratowanie z opresji wojennych. Nad budową tej świątyni pracowało przez kilka lat 300 artystów budowniczych i rzeźbiarzy z Włoch. W pracy bywały przerwy, bo Włosi byli sprytni, jak i dziś i urządzali strejki, chcąc naciągnąć, ile się da. Ołtarza głównego nie ma do dziś — podobno utonął w drodze morzem z Włoch do Wilna.

Nad wejściem do kościoła jest napis łaciński: „Regina pacis, funda nos in pace" — stanowi to grę słów z nazwiskiem Paca. Pobożny ten magnat kazał się pogrzebać pod progiem świątyni i umieścić tam tablicę z napisem: „Hic iacet peccator". Gdy po pewnym czasie piorun przełamał ta-

blicę na pół, uznano to za znak z góry i obecnie tablica ta jest wmurowana w bocznej ścianie przy wejściu.

Na Antokol poszłyśmy raz jeszcze, już bez Longinusa, na pożegnanie Wilna...

Zabytków Wilna nie wyliczyłam ani połowy, bo całe Wilno, to relikwia, którą można porównać pod względem bogactwa pamiątek historycznych — chyba tylko z Krakowem — ale trudno pisać więcej, bo miejsca brak.

Chciałyśmy poznać Wilno także od strony folkloru i dlatego wybrałyśmy się w dzień targowy na rynek.

Kilkugodzinne włóczenie się wśród kramów i fur chłopskich zleciało nam, jak chwila. Jeśli chodzi o barwność, rynek wileński nie odznacza się tu niczym szczególnym: siermięgi szarobrunatne, — samodziałowe spodnie u mężczyzn, kobiety w perkalikowych bluzkach i chustkach nie barwnych. Za to twarze ciekawe, dużo twarzy dość długich, o jasnych, niebieskich oczach i jasnych włosach. Ciekawy też język — język polski z domieszkami rusycyzmów, dużo białoruskiego, czasem coś z litewska. Dopytujemy chłopów, z jak daleka przyjechali na targ: okazuje się, że prócz tych, co przybyli z wiosek bliskich, jest wielu z odległości 40—50 kilometrów; jechali oni z domu cały dzień poprzedni a noc spędzili na rynku. Nieraz chłop przywozi na targ bardzo niewiele: trochę sera białego, śmietany, jaj, parę kur, ale przynajmniej użyje targu — pogawędzi, będzie przez kilka godzin wśród ruchu i gwaru...

Ludność Wileńszczyzny ogólnie biedna, bo gleby liche: „gdyby nam z poznańskiego nie przysłali, nie starczyłoby chleba" — mówi nam któryś z chłopów.

Na wozach, prócz nabiału i drobiu, są jeszcze warzywa, owoce, koszyki własnej roboty; z jednej strony rynku siedzą całym szeregiem stare babki z ziołami. Czego tu nie ma! — trochę się na ziołach znam, ale tu cała moja wiedza okazała się bardzo znikomą wobec jakichś cudacznych liści, kwiatów, korzeni, kory, grzybów lekarskich itd... Same babki, to pyszne typy, przebierają w ziołach z lubością.

Opodal wyroby garncarskie. Śliczna jest ceramika rodziny Azarewiczów, którzy mają od setek lat dziedziczny sekret na polewę. Ta polewa — to cudo! Zielono - błękitno - bronzowe połyski, oryginalne desenie. Oniemiałam zupełnie! Czegoś tak pięknego nie spodziewałam się po ludowej ceramice!

Niedaleko garnków „brzuchatych" i „szyjatych" są oryginalne restauracje: budy, gdzie szumi samowar a z garnków dobywa się zapach kapusty, ziemniaków i kiełbasy. Restauracje mają powodzenie...



Z wileńskiego rynku.

Fot. Danka Filipiakówna



Wyczółkowski. Cmentarz (z teki legionowej).

MYŚLĘ...

Myślę o tych niezmiernych, bezgwiezdnych przestrzeniach
Rozpiętych gdzieś, za jasnym kresem mej rzeczywistości,
W których kiedyś, po wszystkich walkach i znużeniach
Pogrążę się — jak atom grąży się w nicości . . .

Któregoś dnia — o jakiejś wielkiej, samotnej godzinie
Dusza — jak płomień po zetlałym łoncie
Dreszczem przejdzie przez ciało i w bezmiar odpłynie,
Jak w cichy świt odpływa ptak na horyzoncie.

Halina Łuczyńska.

Są naturalnie i żydowskie kramy z perkalikami, obuwiem, guzikami, nożykami itd., pod drzewami ławy z wileńskimi płócienkami. Zrujnowałyśmy się tu do reszty! Co za wzory artystyczne, jaki dobór barw! Przy tym różne gminy mają swe tradycyjnie ustalone wzory, tak, że można poznać po płótnie, skąd pochodzi. Przed paru laty entuzjazmowałam się płótnami poleskimi, a teraz nie wiem, które piękniejsze... Wiadomo, Wileńszczyzna, to królestwo lnu.

...Czas najwyższy wracać. Z zapasów forsy nie mamy już nic — po 3,5 groszy! Całe szczęście, że fundusz na bilet powrotny przezornie został „uniedostępniony" — trudno byłoby wracać kilkaset kilometrów piechotą!

Stwierdzamy ze smutkiem, że każda rzecz ma swój koniec (a kij — to nawet aż dwa końce!) Trzeba opuścić Wilno. Byłyśmy w nim krótko, ale już pokochałyśmy i miasto i śpiewających wilnian.

Wyjeżdżamy z nadzieją, że może tu jeszcze kiedyś wrócimy! Więc:

— Do widzenia, kochane Wilno!

I. S.

Pięcioletni gazeciarz

Tramwaj zwalnia biegu — dojeżdża do przystanku na Solcu przy Kasie Chorych. Do wagonu wskakuje maleńka figurka z ogromną pliką gazet pod pachą. Długie, jasne loki wymykają się spod żokiejskiej czapeczki, nałożonej z fantazją, modą nadwiślańskich andrusów.

Drobne, bose nóżki szybko przebiegają tramwaj. Dziecinny głosik wykrzykuje z zacięciem zawodowego gazeciarza: „Wieczór i Dobry wiec...“

Senny nastrój w tramwaju ożywia się momentalnie. Wszyscy tu znają małego Fredka. Rezolutnie wita się ze swoimi znajomymi, śmiało odpowiada na pytania, zadziwiając swą przedwczesną mądrością, układającą się w słowa niewprawnie jeszcze, po dziecinnemu wymawiane.

— Ile ty masz lat, przyjacielu?

— Szósty — odpowiada z dumą.

— Pewnie dużo gazet sprzedajesz, co?

— O, bardzo dużo.

— To ci inne chłopaki zazdroszczą?

— Aha!...

— A dlaczego oni mniej sprzedają?

— Bo ja się lepiej staram.

— A co ty zrobisz z taką masą pieniędzy?

— Mamusi oddam. Mój brat to zabiera pieniądze nawet z rachunku i kupuje sobie czekoladę ,ale ja wszystko oddaję. Jak dużo zarobię, to mi mamusia kupi ciastko za 15 gr.

— A jak nie sprzedasz wszystkich gazet?

— To nic — uśmiecha się — to pójdzie na zwrot. Potem wszystko wytrą co napisane i drugi raz na tym papierze wydrukują — tłumaczy z powagą.

Bardzo lubi wtrącać się do rozmowy. Mówi się na przykład o Niemcach. Fredek aż się wzdrygnął. Okazuje się, że tak nie lubi Niemców.

— A dlaczego?

— Bo oni się zawsze biją i zawsze pierwsi zaczynają.

Oczywiście, jako gazeciarz, musi być zorientowany w polityce.

Stosunki rodzinne Fredka układają się nie bardzo zabawnie. Mama, on i dziesięcioletni brat sprzedają gazety. Najstarszy dwudziestoletni brat natomiast nic nie robi. Siedzi w domu, bąki zbija, a na domiar wszystkiego eksploatuje jeszcze pięcioletnią podporę rodziny.

— Uskładałem już sobie prawie pięć złotych, schowałem do szafki i zamknąłem na klucz, to on mi rozbił szafkę, zabrał wszystko i jeszcze mi wazonik stłukł.

Fredek ma pięć lat i wszystko robi sam. Sam się bawi, jak inne dzieci zabawkami, gdy mu je kto podaruje, i sam zarabia na swe utrzymanie, jak dorosły. Nie czuje się wcale pokrzywdzony, że życie nie układa mu się tak, jak innym dzieciom. Nie zastanawia się nawet nad tym. Ma zawsze świetny humor — czy bawi się ulubioną zabawką, czy też pełni swe obowiązki, wskakując do jednych, wyskakując z innych tramwajów.

Gdy inne dzieci dawno już śpią, długo jeszcze na Solcu koło Kasy Chorych dziecinny, zachrypnięty głosik wykrzykuje nazwy gazet, których nie potrafi nawet jeszcze poprawnie wymówić: „Wieczór i Dobry wiec...“

Spotykają go wracający do domów po teatrze, chętnie wyciągając dziesięciogroszówki — za gazety.

Kiedy mały gazeciarz kładzie się około dwunastej spać, oczy mu się kleją i bardzo bolą małe, zbiegane nóżki. Jak tylko przyłoży głowinę do poduszki — zaraz zasypia. Rano budzi się rześki i wypoczęty.

M. S. S.

P. O. S.

Tłum szalał z zachwytu. Tysiące widzów, zalegających biały, skąpany w promieniach greckiego słońca stadion, powstawszy z miejsc, wznosiły niemilknące okrzyki na cześć zwycięzcy. — „Tymentenes Zwycięzca!“ brzmiało potężnie, jak ryk fal, albo łoskot przewalającej się po niebie nawałnicy. A on stał na środku stadionu ze wzniesioną ku górze głową, uwieńczoną wieńcem z gałązek oliwnych, dumny, wspaniały, bohaterski, do boga greckiego podobny i bogom nieomal równy. Bo gdzieżby się znalazł taki drugi, coby tak, jak on, mistrz olimpijski, potrafił cisnąć srebrnym krążkiem dysku, przemierzyć lotem strzały długą trasę biegu, sprężyć ciało do skoku, lub opasać stalową obręczą muskułów słabnące ciało przeciwnika?

Zwycięstwo olimpijskie nie zadowoliło Tymentenesa, nie zrezygnował on z siły swych mięśni, ani ze sprawności swego ciała. Postanowiwszy do śmierci zachować uzyskaną przez ćwiczenia formę, sporządził sobie łuk z twardego jak stal drzewa i napinał go codzień, mając w tym sprawdzian sił.

Przez długie lata łuk był posłuszny rękom. Aż stało się, że Tymentenes udał się w długą podróż i codziennych ćwiczeń zaniedbał. Gdy, powróciwszy do domu, usiłował napiąć łuk, twarde drzewo nie ugięło się pod mięśniem jego ręki. — Wtedy zrozpaczony Tymentenes rozpalił ognisko, rzucił się na nie i zginął.

*

Piękna legenda grecka odżywa po wielu latach. Wprawdzie nikt nie żąda od nas dzisiaj, byśmy świadomość swej słabości fizycznej opłacali śmiercią, ale wszyscy dążymy (a przynajmniej dążyć powinniśmy) do tego, żebyśmy siły swe zachować mogli jak najdłużej. Sprawdzian tego zachowania sił znajdujemy w ustanowionej przez Państwo małej odznace, której na imię P. O. S. (państwowa odznaka sportowa).

Wiek, w którym otaczano pogardą wszystko, co dotyczy kultury ciała, przeminął od dawna. Żyjemy w epoce, która za ideał postawiła sobie zdrowy typ człowieka, który zalety ducha łączy z zaletami ciała. Wyblakły młodzieniec i łykająca kredę anemiczna panienka, to zabytki niemal archaiczne. Miejsce ich na świecie zajęła młodzież silna, zdrowa, wysportowana, zaprawiona do trudów, zdolna w razie potrzeby stanąć w obronie kraju.

W trosce o wychowanie takiego typu młodzieży, państwo nałożyło na nas nieoficjalny obowiązek w postaci małego, bronzowego, srebrnego, albo złotego znaczka.

POS może zdobyć każdy obywatel albo obywatelka od lat 15 do 50, który (która) podczas próby wykaże się sprawnością fizyczną. Zdobywszy jednak tę odznakę, trzeba ją umieć utrzymać, co dwa lata stając do prób. Po 24 latach (12 próbach) otrzymuje się złotą odznakę POS'u.

Polska nie jest pierwszym krajem, który POS ustanowił. Przed nami zrobiła to Dania, Szwecja, a potem Niemcy. I wszędzie POS budzi żywe zainteresowanie i cieszy się powodzeniem, zwłaszcza wśród młodzieży, która niejako za punkt honoru stawia sobie otrzymanie POS'u.

My, niestety, nie możemy się pochwalić ani szczególnym zapałem, ani liczebnością pos'istów! A szkoda, bo właśnie POS polski, pod względem dobranych minimów (najmniejszych wymagań), dużej rozpiętości grup i wielkiej rozmaitości sportów, jakie obejmuje, jest dostępny dla najszerszych mas i przewyższa inne POS'y.

Nasz bliski sąsiad, Rosja Sowiecka, która dopiero po Polsce tę odznakę wprowadziła, przekroczyła już dawno milion pos'istów.

A u nas? Wciąż jeszcze tylko tysiące odznak w 32-milionowym państwie...

Maria Łepkowska.

*

A teraz, kochane Czytelniczki, jestem bardzo ciekawa, dlaczego i jakie rodzaje sportu uprawiacie? Jak zdobywałyście Wasze POS'y? Jakie są Wasze doświadczenia i przygody w wyczynach sportowych i wycieczkowych? Chcę, żeby w dziale sportowym jak najwięcej pochodziło od Was! Piszcie! Zdobądźcie POS i na tym polu!

Redakcja.

GOŚĆ

Po różnych smutkach, tarapatach
Przyszedł nareszcie dziwny gość:
Zrazu wyglądał jak fajtłapa:
Był chudy, cienki, niczem kość.

Powoli utył, zgrubiał, zmężniał,
Sadłem się pokrył wzdłuż i wszerz,
Jak Herkulesa brat spotężniał
I brzuch mu urósł, niby jeż.

Starym zwyczajem Mikołaja
Przyniósł ze sobą ciężki wór.
Z worka wystaje rzeczy zgraja
Przez całą kopę wielkich dziur.

Widać tam rower, sculling, kajak,
Kawałek dyska, oszczep, łuk,
Samych żeglarskich tuzin fajek,
Różnych wiatrówek cały huk.

Dziwny jegomość zwiedził plażę,
Obejrzał tennisowy kort,
Zdrowiem rozjaśnił wszystkie twarze.
Powiem wam jego imię: — sport!

Wiesław Pyrek.

W świetlicy O. M. P.

Poszłam do świetlicy O. M. P., to jest Organizacji Młodzieży Pozaszkolnej.

Świetlica, to duża sala, ozdobiona mnóstwem kolorowej bibuły. Krzyż, obrazy dostojników państwowych, fotografie zabytków Krakowa, ławy i kilka stołów; w oknach papierowe firanki. Wszystko wskazuje na gust dziecka, pomysły biednych malców, które pragną piękno połączyć z taniością.

Czekam cierpliwie na kierowniczkę. Gdy przyszła, zaczynam wypytywać o cel i o pracę w tej świetlicy. Objaśnia mię bardzo chętnie:

— Nie wszystkie dzieci są w tym szczęśliwym położeniu, by mogły być odpowiednio wychowywane w domu. Często nauczycielem jest ulica. Takie dziecko już w pierwszych latach swego życia klnie, jak murarz, kłamie, a życie poznaje od strony najgorszej. Naszym celem jest ściągnąć takie dziecko do świetlicy, a tym samym wziąć je w orbitę naszych wpływów wychowawczych.

— A jakie metody pracy? — pytam dalej.

— Ogólnych metod mało, bo przecież trzeba niemal do każdego dziecka podejść indywidualnie. Wytyczną jest chęć zrozumienia psychiki dziecka. Nieraz pokaże ono pani język za plecami, nieraz opluje, ale czasem wypłacze wszystkie swoje zmartwienia i żale. Instruktorzy i instruktorki żyją z dziećmi na stopie przyjacielskiej. Nigdy nie drwią, nie wyśmiewają się z dzieci... największą zbrodnią, jaką można popełnić, jest lekceważenie dziecka. Przede wszystkim musimy każde dziecko zająć, zbliżyć do siebie, a potem już można wszystko mówić i wszystkiego uczyć.

Cały wieczór spędziłam wśród dzieciarni, bawiąc się z nimi, jak nigdy.

Wracając do domu, zastanawiałam się nad tym, co daje taka praca: czy większą korzyść Państwu? — czy większą przyjemność wychowawcom?

Kraków. Janka Roczymska
kl. VII. gimn. 140.

Wśród książek

Dr. Feliks Burdecki. Telewizja. — Arct. Warszawa 1936., cena zł 1,80 Burdecki znany jest młodzieży, jako autor książek, popularyzujących zagadnienia fizyki oraz zdobycze współczesnej techniki (np. „Podróże międzyplanetarne", „Życie maszyn", „Lot w stratosferę" itd.) „Telewizja" wprowadza w zagadnienie bardzo dziś aktualne zarówno w kołach naukowych, jak i wśród rzesz radioodbiorców, którzy czekają na chwilę, gdy będą mogli nie tylko słyszeć, ale i widzieć na odległość. W różnych państwach marzenie to jest już w mniejszym lub większym stopniu zrealizowane, między innymi np. w Niemczech. W Polsce w Państwowym Instytucie Telekomunikacyjnym prowadzona jest pod kierownictwem prof. Groszkowskiego energiczna praca na tym polu.

Telewizja w historycznym rzucie oka, obecny stan i zagadnienia telewizji, oto treść bardzo ciekawej i kształcącej książki Burdeckiego. — Książka pisana żywo, miejscami z nowelistycznym niemal zacięciem, wymaga jednak, wobec obfitego i poważnego materiału rzeczowego, zarówno pewnego przygotowania z fizyki jak — solidności w czytaniu — (uwaga dla tych, co czytają trochę z końca, trochę z początku, i coś nie coś ze środka książki), a trud opłaci się stokrotnie!

M. Ch.

M. Arcta Słownik ortograficzny języka polskiego. — Nowa pisownia, uchwalona przez Komitet Ortograficzny Polskiej Akademii Umiejętności w roku 1936. Wydanie VI, str. 380. — Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1936. Cena zł 10,— w opr. płóc. zł 13,—

Słownik Ortograficzny jest n a j w i ę k s z y m z e s ł o w n i k ó w, znajdujących się obecnie w sprzedaży księgarskiej i właściwie jedynym przeznaczonym nie do użytku szkolnego, lecz szerszych warstw inteligencji. Niesłychane bogactwo wyrazów (ponad 60 000 słów), wyczerpujące zasady pisowni, opracowane przejrzyście przez wybitnego językoznawcę, prof. St. Szobera, tablica, podająca zasady dzielenia zbiegu głosek przy przenoszeniu wyrazów, czynią tę książkę nieodzowną w rękach każdego piszącego, a przede wszystkim w biurach, redakcjach, urzędach itp. Oprócz swego zasadniczego przeznaczenia Słownik może oddać znaczne usługi przez podawanie przy wszystkich wyrazach końcówek deklinacyjnych i koniugacyjnych. — Druk wyraźny, strona zewnętrzna estetyczna.

M. Arcta Słowniczek ortograficzny i zasady pisowni polskiej według uchwał Komitetu Ortograficznego Polskiej Akademii Umiejętności w r. 1936, str. 224. Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa, 1936. Cena zł 1,—

Znana chlubnie z szeregu wydanych słowników firma wydawnicza M. Arct w Warszawie wydała obecnie słowniczek ortograficzny obejmujący 18 000 wyrazów, p r z e z n a c z o n y p r z e d e w s z y s t k i m d l a s z k o ł y, choć niewątpliwie odda on znaczne usługi każdemu, dla kogo pisanie nie jest jednym z momentów pracy zawodowej.

Nadto nadesłano: **Lloyd C. Douglas. Zielony sygnał.** Wyd. M. Arcta. Warszawa. 1936. Książka powyższa omówiona będzie obszerniej w jednym z najbliższych numerów.

Dla braku miejsca obszerniejszą recenzję wymienionych w Nr. 2 w y d a w n i c t w „O s t o i" damy w numerze następnym.

Odpowiedzi redakcji

W. W., gim. 523. Nowela o psie dobra, ale czemu się tak smutno kończy? „Dzień hufca lubelskiego" ma dużo zacięcia humorystycznego, pójdzie do druku w odpowiednim czasie (jesień—wiosna) i gdy będzie miejsce. Pisać można, co chcesz — „wedle natchnienia".

Nina Paciorkiewicz, gim. 837. Twoja odpowiedź na konkurs dla psychologow należy do lepszych. Widać, że interesujesz się młodszym rodzeństwem i dobrze

je obserwujesz. Wydrukujemy, gdy będzie miejsce. Szkoda, że o „ulubionych książkach" tak mało napisałaś.

Krysia G., gim. 440. Odpowiedź o „ulubionych książkach" ciekawa.

Magda Grodyńska, gim. 440. Łamigłówka dobra, wydrukujemy. W kwadracie magicznym sprawdź liczbę mnogą od „jar".

Baśka Mniszkówna, gim. 643. „Wielkie serce" dobre. Wydrukujemy.

Obszerniej odpowiadam **kl. III b gim. 668,** która poruszyła szereg spraw, obchodzących ogół czytelniczek. Wzywam też i inne czytelniczki do zabrania głosu w tych sprawach. — Górą kl. III b! miałam dużą przyjemność, czytając wasze zdania, zarówno te, w których podnosicie to, co Wam się podoba w Dziś i Jutro, jak i te, którymi wyrażacie pożądane przez Was zmiany i uzupełnienia.

Z pośród kilkunastu, które pisały, prawie każda pragnie t w a r d e j, k o l o r o w e j o k ł a d k i, ozdobionej np. motywami ludowymi, nowoczesnymi kompozycjami dekoratywnymi i t. p. Doskonale! — i ja również bardzobym tego chciała, ale postawiłam sobie przy obejmowaniu Redakcji pytanie: czy wolę miesięcznik z twardą, kolorową, zmienną okładkę, co jest bardzo drogie, czy formę dwutygodnika, który również jest dość kosztowny? Wybrałam dwutygodnik, bo można nim nawiązać głębszy, żywszy kontakt uczuciowy i myślowy z czytelnikiem. Macie więc w tym roku dwutygodnik o 32 str. druku miesięcznie — (w roku zeszłym był miesięcznik o 24 str. z twardą okładką) — i ten dwutygodnik, choć niesie Wam bogatszą zawartość, kosztuje taniej! jest dostępniejszy i młodzieży mniej zamożnej! Ale wobec tego nie stać go, przy obecnej liczbie prenumeratorów, na kolorową okładkę. Zdobądźcie tysiąc nowych prenumeratorów, a będzie dwutygodnik z kolorową okładką. Ale ja marzę najwięcej — o tygodniku! — to również zależy od liczby abonentów. Postarajcie się o nich!

Któraś pisze: miękka okładka niszczy się. Prosta rada: Zrób sobie ładną, twardą teczkę na numery „Dziś i Jutro".

Chcecie **wiadomości sportowych.** Dobrze! Dlaczego ich dotąd nie było? Oto chcę, byście w tej dziedzinie jak najwięcej Wy pisały! — tyle jest między Wami „Posistek", narciarek, kajakowców i t. p. Ruszcie piórem! Miałam wprawdzie parę rzeczy dobrych ze sportu, ale panny spóźnialskie przysyłały nie w porę!

A łamigłówki? O, gdybyście wiedziały jak bardzo Redakcja ł a m i e s o b i e g ł o w ę, by na 16 stronach wszystko pomieścić. Zecer w drukarni ma łamigłówki dawno złożone, aż tu przychodzi wyższa matematyka: stron 4 + 3½ + 2 + ½ + 3 i t. d.... — to artykuły i artykuliki, tyle by się Wam chciało powiedzieć: — a jak tu artykuł skrócić? Obciąć mu głowę? ogon? wyjąć środek! Kłopot! I łamigłówki się nie zmieściły! Ale m u s z ą b y ć, więc b ę d ą!

Wzory na roboty — bardzo dobrze, i ja o tym pamiętam, ale wzory te lepsze właśnie teraz, na chłodniejsze miesiące, bo, póki ciepło, trzeba jaknajwięcej używać świeżego powietrza i ruchu!

Ciężki orzech do zgryzienia, to **wiadomości polityczno-gospodarcze** z życia kraju. „Czyż nie słusznie byłoby interesować się tymi zagadnieniami, których doniosłość już teraz osądzić możemy i którymi już obecnie zajmować się mamy" — pisze Genia Bosko. Bardzo rozumne zdanie. Ale jest duża trudność: Dziś i Jutro wychodzi co dwa tygodnie, wiadomości bieżące, podawane w dwutygodniku, będą przestarzałe,byłoby to powtarzanie tego, coście już dawno w gazetach przeczytały, bo przecie gazety czytacie wszystkie. A wypadki idą dziś w świecie z tak zawrotną szybkością! Jest tu jednak pewne wyjście — (trzeba zawsze szukać wyjścia tak długo, aż się je znajdzie!). — Można dawać artykuły, omawiające nieco obszerniej pewne ważniejsze zagadnienia. Nie — przegląd wszystkiego, ale głębszy rzut oka na sprawy istotne. Zgoda?

Interesują Was bardzo **artykuły pisane przez Wasze znane i nieznane koleżanki** ze szkół średnich w Polsce — piszecie: „tym sposobem możemy się poznać i podzielić wiadomościami". — Słusznie. Ale Redakcji idzie jeszcze o coś więcej: o to, żebyście przygotowywały się w ten sposób do tego, by w przyszłości umieć nie tylko dobrze myśleć i dobrze czynić, ale i dobrze pisać i mówić, gdy trzeba. To stanowi jeden ze środków szerzenia Dobra w świecie. Trzeba tworzyć o d w a ż n y, m ą d r y, d o b r y front zdrowego światopoglądu.

Kilka z Was chce **gawęd przyjacielskich,** korespondencji między szkołami na łamach Dziś i Jutro, dyskusji nad artykułami i t. p. Napewno nie myślicie o gawędach tego stylu, gdzie to „Fiołek leśny" wzdycha słodkawo do „konwalijki gajowej" — ale — jak sobie te gawędy konkretnie wyobrażacie? Czekam odpowiedzi na to.

Poruszacie też sprawę porządku artykułów, ale to odłóżmy na przyszłość, bo — nie ma już miejsca.

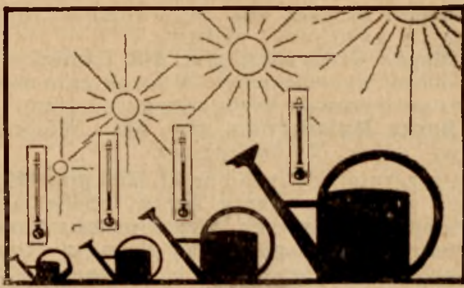
Lusi za łamigłówki dziękuję, ogólnie dobre, pójdą do druku.

A teraz — ściskam całą kochaną III b i czekam, że dotrzymacie obietnicy współpracy z Redakcją. Red.

Ważne dla miłośniczek kaktusów

(Z książki S. Przyrembianki: „Kwiaty na codzień".)

Kaktusów późną jesienią i w zimie nie należy często podlewać, gdyż wtedy są w spoczynku, nie rosną; wystarczy zrobić to raz na tydzień, gdy ziemia przeschnie, lub rzadziej, zależnie od temperatury pokoju. (W lecie niezbędnym jest częste podlewanie, gdyż roślina rośnie i nagromadza zapasy pokarmowe). Podlewanie kaktusów zależnie od temperatury przedstawia załączony rysunek. Temperatura mieszkania w zimie nie powinna być za wysoka; wobec spoczynku mogą kaktusy zimować w nieopalonym pokoju lub na werandzie nawet przy 5 stop. C.



Podlewanie kaktusów.

Łamigłówka grzebieniowa

Z podanych liter ułożyć 9 sześcioliterowych wyrazów, wstawić w załączony rysunek, a miejsca oznaczone krzyżykami tak uzupełnić, aby górny rząd dał imię i nazwisko współczesnej autorki polskiej.

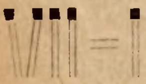


Znaczenie wyrazów:

1) niebezpieczeństwo. 2) ulica w Krakowie. 3) jezioro w Polsce. 4) drogocenna materia. 5) rodzaj walu. 6) rodzaj wstęgi. 7) imię biblijne. 8) metal. 9) drzewo.

Litery: a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, a, b, b, b, b, c, c, c, d, e, e, e, f, g, h, i, i, j, k, l, l, n, o, o, o, o, r, r, r, r, r, r, r, r, s, s, s, s, t, u, z, z, z, z.

Figiel zapałkowy



Jak przestawić tylko jedną zapałkę, aby znak równości wyrażał rzeczywistość?

Drabinka



Znaczenie wyrazów:

a) pionowo:

1) rzeka we Włoszech
2) zaimek w j. łacińskim
3) pieniądz
4) owoc
5) instrument
6) inaczej pewna ilość
7) choroba
8) miasto w Polsce
9) ogłoszenie
10) wyrostek obr. u roślin
11) zgromadzenie biskupów
12) nakrycie głowy
13) rzeka w Europie
14) część twarzy

b) poziomo:

3) kawałek drzewa
5) część ciała
7) roślina egzotyczna
9) imię męskie zdrobniałe
11) uzdrowisko w Polsce
13) narzędzie rzeźbiarskie

TREŚĆ N-ru 4:

„Wytwórzmy wspólny front do walki z nędzą" 25. — Maria Wilk-Szarzyńska: Po drugiej stronie 26. — I. S.: Niech żyje Wilno 27. — Halina Łuczyńska: Myślę... 28. — M. S. S.: Pięcioletni gazeciarz 29. — Maria Łepkowska: P. O. S. 30. — Wiesław Pyrek: Gość 31. — Janka Roczymska. W świetlicy O. M. P. 32. — Wśród książek 33. — Odpowiedzi Redakcji 34.

Warunki prenumeraty: rocznie 5 zł.
Numer pojedyńczy 30 gr.
Konto P. K. O. „Dziś i Jutro" 404 930.
Redaktor naczelny: Jadwiga Szarska,
Warszawa, Łowicka 31.
Wydawca i red. odpow.: Jadwiga Bahr.
Adres redakcji:
Warszawa, Łowicka 31.
Czcionki i druk: Drukarnia Polska Spółka Akcyjna w Poznaniu, św. Marcin 70.